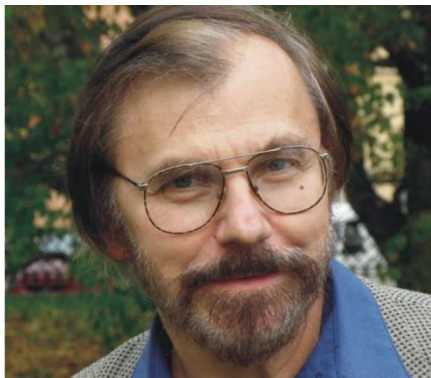


Listy do Pani A. (161)



Ciupy lateksowe

Droga Pani!

I już grudzień. Zima jak dotąd kapryśna. To dobrze, bo jeszcze nie wymarząmy z krete-sem. Pamiętam z dzieciństwa, że już 6 grudnia czekało się wraz ze śniegiem i mrozem na przyjście świętego Mikołaja. I rzeczywiście przychodził... Jako dziecko sceptyczne od urodzenia, bacznie mu się przyglądałem, odkrywając, że ma jakąś dziwną, jakby zdrewniałą twarz, oczy błyszczą w jakichś otworach. Ale żył, mówił, dawał prezenty – i to było najważniejsze. Nie przyznawałem się, że coś mi w tym nie gra. Byłem pewien, że to sąsiad przebierał się za Mikołaja, a na twarz wkładał tekturową maskę. Na moje podchwytliwe pytania rodzice odpowiadali, że jest zmarznięty i ma taką zdrewniałą skórę, bo przecież tam, w górze, jest przeraźliwy mróz. Chichotałem wewnątrz, udając, że moja wiara w Mikołaja jest niezachwiana. Chociaż czasami miałem wątpliwości, czy jednak się nie mylę. Ale już w okolicach szóstego, siódmego roku błąkania się mojego po tym łoż padole byłem już pewny, że to jednak nie ma nic wspólnego z prawdziwym świętym.

Kiedy byłem młodocianym wagarowiczem, nierazko zamiast o szkołę, zahaczałem o cerkiew na warszawskiej Pradze. Widywałem tam ówczesnego metropolite, Bazylego Doroszkiewicza. Był czasem w cebulastej mitrze, w ozdobnej kapie. Dostojny, choć niewysokiego wzrostu, siwy starzec z imponującą brodą, przywodził na myśl najprawdziwszego świętego Mikołaja. I te śpiewy, chóry, melodie. Zawsze mnie to fascynowało.

Do dziś prawosławie to dla mnie intelektualne i emocjonalne wyzwanie.

Oburzają mnie próby umniejszania jego znaczenia w kulturze i teologii.

Tymczasem od Anny Radziukiewicz, pi-sarki i redaktorki z Białegostoku, dostałem, zredagowaną przez nią, grubą książkę pod tytułem „Siewcy”. To praca zbiorowa. Znalazły się tu wywiady z duchownymi prawosławnymi, często wysokiego szczebla, profesorami, teologami, historykami, publicystami. Dużo się z tej książki (właściwie księgi – ma grubo ponad 500 stron) dowiedziałem o historii narodów naszych Kresów, a także

samego wyznania prawosławnego, sztuki, literatury, filozofii. Jestem tą pracą (w której ważny merytoryczny udział ma Anna Radziukiewicz) wprost oczarowany. Na pewno Pani również byłaby zainteresowana historią słowiańszczyzny, życiem Cerkwi prześladowanej tak przez Rosjan jak i Polaków mieszkających na dawnych kresach Rzeczypospolitej. Te niechęci, animozje trwały nawet do późniejszych czasów powojennych. Ale i teraz w niektórych środowiskach niekiedy dochodzą do głosu tak żywe uprzedzenia, że trudno podjąć sensowny dialog.

A przecież „...na ziemi jestem chwilę...” – jak głosi tytuł nowego tomiku wierszy Andrzeja Dębrowskiego. To głęboka prawda. Jest w tych wierszach zapisana nietrwałość naszego ziemskiego bytowania. Jednakże ta świadomość nie obezwładnia podmiotu lirycznego ale dopinguje do odkrywania wciąż nowych dróg, nowych form i języka; wzbogacających doświadczeń. Bo skoro dana jest nam choćby i krótka chwila, to trzeba ją do maksimum wykorzystać. Oczywiście, nie zawsze się to w pełni udaje. Podmiot liryczny zdaje sobie sprawę z ludzkich ułomności. Wie, że choć jego obecność w tym świecie jest terminowa, to ostateczna godzina nie jest nikomu z nas, znana. Nie można więc zmarnować ani chwili. Jest to poezja zagrzewająca do wytrwałości, bez względu na ostateczny rezultat. Trochę tak, jak w znanym dowcipie: „wszystkiej wódki nie wypijesz, wszystkich na świecie kobiet nie zaliczysz, ale starać się trzeba”. Więc podmiot liryczny stara się opisać ten świat w sposób możliwie pełny. Widać w tym tonie, jak modyfikuje się język, jak metaforyka staje się coraz bardziej celna i ekspresyjna. I coraz bardziej trafna i oryginalna staje się diagnoza stawiana przez poetę współczesnemu światu. Podkreślmy, że Dębrowski napisał ważną książkę. Bardzo Pani polecam ten tom. Po jego lekturze człowiek staje się wewnętrznie bogatszy. W życiu – wydaje się mówić poeta – właśnie najistotniejsza jest hierarchia zdarzeń nieprzemijających. Wszelkie, tzw. „ziemskie” spory stają się wobec niej bagatelne, bo nie są zakorzenione w rzeczywistości ponadczasowej.

Niespodziankę zrobił mi Janek Tulik. Napisał oto recenzję, a właściwie esej, o mojej poezji, którego to podstawą stało się kilka moich tomów: „Obcy jestem” (Oficina Wydawnicza „STON 2”, Kielce 2020, „Studnie Andersena” (Wyd. Adam Marszałek, Toruń 2012), „Poezje wybrane”, (LSW „Biblioteka Poetów”, Warszawa 2010). Janek bardzo dobrze czuje poezję, sam jest znakomitym poetą. Niezmiennie zachwyca się jego twórczością. Niczym w pigułce, zawarł w jednym zdaniu ważną cechę mojej twórczości: *Jurkowski pisze bowiem jakby jedną księgę – powtórzy to raz jeszcze – lecz w każdym nowym „akcie” umieszcza nowe sceny, nowe obrazy, dzięki jego wciąż wibrującej wyobraźni.*

To prawda. Moja wyobraźnia wibruje nie tylko w przestrzeniach lirycznych. Jak Pani wie, lubię się bawić słowem, tworzyć jakieś kalambury. Czy Pani się domyśla, czym dla ośla jest salami? To – „mielodramat”. A jak zaadresować list do poety Bolesława mającego

na koncie wiele przygód erotycznych? „Ob. Leśmian”. A kto przemawia w wierszu, jak nie „podmiot liryczny”? Jak nazwać przyjęcie bezalkoholowe? „Masturilacja”. Ma zatem rację Jan Tulik, że w każdym – jak się wyraził – „akcie” wszystko dzieje się niemal to samo, tylko w innych pozycjach... Jakoś nigdy, albo niezmiernie rzadko, udawało mi się podobne koncepty włączać bezpośrednio do wierszy.

Czasem samo życie niesie sytuacje zabawne. Oto nagle siostry zakonne usłyszały alarm powiadamiający, że w „oknie życia” jest dziecko. Pobiegły na ratunek, a tam... skulony na malutkiej przestrzeni pijany dwudziestolatek. Włamał się, bo zachciało mu się spać. Ledwie go stamtąd wydobyto, zresztą przy pomocy policji. Nie uwierzę, aby czcigodne siostry już po wszystkim nie pękały ze śmiechu. Ja bym pękł i rozpylił się, a Pani?

Okna życia, albo lepiej: trzeźwości, powinny być w każdym mieście, na każdym rogu. Zwłaszcza w nowych dzielnicach, które są wszędzie identyczne. Nie można (szczególnie w stanie nieważkości) zorientować się czy to Warszawa, czy już zaszło się do Krakowa, a może do Wrocław albo do Poznania? Jak więc się ratować? Nowe budownictwo niestety nie ma już nic wspólnego z prawdziwą architekturą. Wszystko jest taśmowe, bliźniaczo do siebie podobne. A kiedyś miejską zabudowę projektowali wybitni architekci. Każda kamienica miała swój styl. To była sztuka. Dzisiaj jest szablon. To samo dzieje się w malarstwie, a najczęściej w poezji, bo pisać każdy może.

W dawnych dzielnicach czujemy się lepiej, mamy jakieś punkty odniesienia, których zabrakło wśród mieszkalnych prostopadłościaków. Wszystkie budowle miały jakiś styl. Nawet więzienia, jak choćby to na Rakowieckiej w Warszawie. Ale teraz są inne areszty. Oto gdzieś na Śląsku katechetki uczą szkolne dzieci, że plemniki to... biedne duszyczki uwięzione w prezerwatywach. Mamy więc teraz ciupy z lateksu. Szkoda, że nie wylądowały tam te duszyczki, które przyczyniły się do powstania aż takich idiotek. Na naszych oczach świat staje się oślizgły, obły, zunifikowany i debilny. Ale za to ciekawy.

Nie poddawajmy się zatem powszechnemu zidioceniu. Zbliżają się najpiękniejsze Święta. Składam Pani serdeczne życzenia zdrowia i odporności na idiotyzmy naszych czasów –

Stefan Jurkowski

PS. W poprzednim Liście (160) do nazwiska jednego ze współautorów antologii „Pisarze wobec zagrożeń cywilizacji” wkraść się błęd. Winno być: **Jerzy Stasiewicz**. Przepraszam S.J.

